

Za ogonem Wąwoza

Pies wsadza pysk do piaszczystej jamy. Węszy i prycha, cofa się nagle. Na sierści widać ziarna wilgotnego piasku. Spogląda bursztynowymi oczami, po czym uskakuje i rzuca się biegiem w stronę drzew. Czarny, podpalany kundel przypominający wilczura szybko maleje na tle lasu. W upale i jaskrawym słońcu sosny stoją nieruchomo, wszystko od igliwia do bezchmurnego nieba wydaje się być nieskończenie suche. Pies macha ogonem, imponującym jak u wiewiórki, i wpada między pnie.

– Wąwóz! – nie słyszy wołania, znika w lesie. „Tam będzie chłodniej” – myślę i podążam za nim. Długi garb porośnięty strzelistymi pniami przypomina psi ogon. Uśmiechając się pod nosem, wchodzę między sosny. Nie spodziewałem się aż takiej ulgi. W gardle drapie, ale chłód koi skórę. Powiew muska policzki. Idę po wydmie, której zbocze składa się z mniejszych wzniesień, podchodzę kilka kroków w górę i zbiegam w płytkie dolinki. Nie słychać szczekania ani szelestu łań w poszyciu. Przypuszczenie, że pies zmienił się w krajobraz, wydaje się najrozsądniejsze.

Osiągam nastoneczniony szczyt wydmy, dalej droga opada. Po bokach sosny, a między nimi kawałek nieba, przedzielony poziomą kreską na dwa pasy błękitu. Morze.

Rozglądam się za jedyną istotą, do której mogę krzyknąć, że jesteśmy nad morzem. Las przemawia ciszą: „Tu nie ma psa”. Zaczynam schodzić środkiem szerokiego duktu. Nogi same niosą po stromiznie. Nie zatrzymuje nawet gorący piach, sypiący się do założonych na gołe stopy butów. Pierwsze uniesienie powoli opada, miarowym krokiem zbliżam się do plaży, droga się zwęża i kryje w cieniu. Siadam na chwilę i zdejmuję buty. Tu piasek jest zimny, kłują w podeszwy połamane gałzki. Nadbrzeżną wydmę porasta ostra trawa. Pokonuję ostatnie metry i rozglądam się na boki. Piaszczysty pas ciągnie się w obie strony, regularnie cętkowany kocami i kolorowymi parawanami.

Wchodzę między grajdółki, nie zwracając niczyjej uwagi. Zajęci sobą; na wpół oślepieni przez słońce, na wpół uśpieni przez gorąco. Mijam kolejnych plażowiczów. Twarze, sylwetki, gesty – zastanawiające. Przyglądam się baczniej, ale chociaż oni pozostają obojętni, czuję się nagle wyeksponowany, jakbym wbiegł nago na eleganckie przyjęcie. Twarze, ukryte za ciemnymi okularami, zmienione opalenizną, wydają się należeć do jakiegoś wspólnego zbioru. Gdzieś ich widziałem... Wszystkich?

Stoję wśród koców i wiatrochronów, odróżniam twarze osób w promieniu kilku metrów. Plaża ciągnie się po widnokrąg i stamtąd, z obszaru koszy, parasoli i rakietek do kometki migających rytmicznie nad bezimiennymi głowami, zbliża się chłopiec. Może być w drugiej albo trzeciej klasie; jedno z tych dzieci, którym cień własnych myśli kładzie się na niepokieszonym dzieciństwie. Gdy obejmuje mnie poważnym spojrzeniem, mam wrażenie, że wyraz jego oczu się zmienił; patrzy na mnie, jak na kogoś, kto nie dotrzymał danego mu słowa.

Mijamy się; wykonuję jeszcze parę kroków. Tak... tak, wiem! Był ktoś taki. Chodziłem na basen i ledwo zauważałem jego obecność, do dnia kiedy podszedł do mnie z wyciągniętą ręką, mówiąc: „Jestem Jacuś, czy możemy zostać kolegami?”. Zresztą nie pamiętam imienia, wiem tylko, że przedstawił się jego zdrobniątką formą. Nie miał dziesięciu lat, a ja nie miałem dwudziestu. Szorstkość i arogancja nastolatka

naprzeciwko bezbronnej prostoduszności dziecka. Zaskoczył mnie; wymieniliśmy uścisk dłoni. Dobrze, Boże, jak to dobrze, że nie powiedziałem mu czegoś nieprzyjemnego, nie wyśmiałem. A jeżeli pamięć ukrywa przede mną coś, czego nie byłbym w stanie znieść? Wszystko jedno zresztą, bo zachowałem się nie po koleżeńsku, nie okazując Piotrusiowi czy Jacusiowi więcej uwagi niż przedtem.

– Piotruś!!!

Za moimi plecami tłum ludzi i niezliczone akcesoria plażowe tworzą kolorową mozaikę, w której zawitym ornamencie wzrok traci zdolność odnalezienia pojedynczej osoby.

– Nie widziała pani – nagle zdaję sobie sprawę, że uszedłem spory kawał od miejsca spotkania – Piotrusia?...

Leżąc na najbliższym kocu przesuwam okulary przeciwsłoneczne na czoło. Rozpoznaję w niej kobietę, z którą kiedyś jeździłem tym samym autobusem. Z powodu oczu, zwłaszcza tego, jak na mnie patrzyła, także sylwetki, wdzięku, z jakim się poruszała, i z powodu aury wzajemnej (a może tylko wymarzonej przeze mnie) fascynacji chciałem powiedzieć nieznamym, jak wielkie zrobiła na mnie wrażenie. Za każdym razem przekonywałem siebie, że warto, dla niej, żeby wiedziała, jak jest podziwiana, i na wypadek, gdyby znajomość ze mną... Nie potrafiłem znaleźć okazji.

A teraz wyraz zaskoczenia na jej twarzy ustępuje uldze, potem uśmiechowi. Próbuje na ten uśmiech odpowiedzieć, licząc na to, że napięte mięśnie twarzy podchwycą zamiar. Zza moich pleców wyłania się właściwy adresat uśmiechu i klęka na kocu, całując nadstawiony przez dziewczynę policzek. Odchodzę, uznając mówienie w tej sytuacji „przepraszam” za zbędną gadatliwość. Moja niedoszła sympatia szeptem tłumaczy coś swojemu towarzyszowi, wypyującemu ją gniewnym tonem.

Powoli dochodzę do siebie, spostrzegam butelki z piwem, zakopane po szyję w piasku w strefie przyboju, obmywane przez drobne fale. W górze unosi się latawiec. Zbliżam się do zjeżdżalni, rzucam okiem na mężczyznę pobierającego opłaty. Odpowiada zaczepnym spojrzeniem. Także jego rozpoznaję; wypchnął mnie z kolejki w sklepie, a może na poczcie?

Już wiem, kim są. To ludzie, których kiedyś przelotnie widziałem i z którymi zamieniłem kilka słów – a jednak zapamiętałem ich na stałe. Moi niedoszli przyjaciele, wrogowie, prześladowcy, wybawcy, ofiary i wdzięczni uratowani. Bez imienia i nazwiska, obdarzeni jedną przypadkową cechą charakteru, którą ujawnili w chwilowym kontakcie. Być może są wśród nich potencjalni najlepsi przyjaciele i najmiłsze kochanki. Ba, na pewno są, tylko jak ich odnaleźć, a potem przekonać, żeby zechcieli swój czas dzielić ze mną?

Gdybym urodził się we wsi odciętej od świata, spędziłbym życie wśród kilkudziesięciu „swoich”, znałbym każdy ich gest, nawyk, myśl nieledwie. Moje życie byłoby tak samo przezroczyście dla nich. Każdy przybysz byłby zagadką, naruszającą bezpieczny porządek. A tu jest inaczej, stado nieświadome swojej stadności nie doczeka się nigdy momentu, kiedy siły przyrody spoją je i uporządkują. Samotność i prywatność – każda z nich trzyma w zębach ogon drugiej. Jak na ironię pozostał atawizm obawy przed przybyszem, podczas gdy miejscowych praktycznie już nie ma.

Uszedłem dobry kilometr, plaża pustoszeje. Marsz stał się uciążliwy, jakbym miał krótsze nogi. Przede mną ktoś prawie dorosły, a może nawet pełnoletni. Robię daszek z lewej dłoni i przechylając głowę, spoglądam w górę; z powodu blasku marszczę całą twarz.

– Jestem Maciuś – wyciągam do niego rękę – będziemy przyjaciółmi?

Spogląda pobłaźliwie i mówiąc jedno słowo, przechodzi obok, spokojnie odsuwając grzbietem dłoni moją rękę. Pochylam głowę i – jak dotknięty czarodziejską różdżką – z miejsca popadam w zadumę. Dopiero po chwili zaczynam kreślić stopą półkola w piasku.

– No i gdzie ty byłeś?! – jedna ręka szarpie za ramię, druga uderza w pośladki tak, że tracę grunt pod nogami i zawisam na pochwyconym ramieniu – Ile razy?! Ile razy mam ci mówić, żebyś sam nigdzie nie łąził?! Ile? Ile? – każdy pytajnik to jedno uderzenie.

Przepraszam – zaczynam pochlipywać.

Co mi po twoim przepraszam?! Jak mi zginiesz, to mnie wsadzą do więzienia! A ciebie do domu dziecka!! Chcesz, żebym siedziała w więzieniu przez ciebie, tak?!

Nieeee!!! – piszczę histerycznie – Nie, ja już nie będę, ja nie chcę, żebyś szła do więzienia, nie chcę, nie chcę! – na koniec zanoszę się szlochem.

To masz się mnie pilnować, a nie łązić po całej plaży.

Ja już nie będę – bełkoczę, dławiąc się smarkami.

Zobacz, jak ty wyglądasz.

Przepraszam.

I przestań ciągle przepraszać!! Nie denerwuj mnie!! – odpycha moje ramię; robię parę kroków, potykając się w piasku.

Prze... ja już nie będę – cały drzę wewnątrz, czuję bicie serca i rumieńce na twarzy. Ból ramienia dotrze do mnie później, wraz z pojawiającymi się sińcami.

Idiota. Czego tamten chciał od ciebie?

To był idiota?

Ty jesteś idiota, kretynie! Pytam się, czego tamten dryblas chciał od ciebie.

Tylko rozmawialiśmy...

O czym?

Chciałem się z nim pobawić.

Nie wolno ci się bawić z takimi.

Dlaczego?

Bo ja tak mówię.

Przez chwilę idziemy w milczeniu. Łzy i gluty obsychają na wietrze.

– Mamusiu?

– Co?

– Chciałem cię o coś zapytać.

– To pytaj.

– O takie jedno słowo.

– Jakie?

– Co to znaczy „spierdalać”?

– Zwyywał cię, tak? Sam widzisz, do czego prowadzi twoja głupota. To był chuligan jakiś. Nie wolno wyzywać dzieci. Taki zwyrodnialec mógł cię nawet pobić. Masz mi się nie ruszać z koca. Chodź tu.

Przykleka i ogarnia mnie ramieniem, oglądając z bliska twarz. Wyciąga chusteczkę do nosa, wsadza jej róg do ust. Zaślinionym płótnem ściera zaschnięte smugi pod nosem i na policzkach. Sztynnieję i zaciskam usta, ale boję się odwrócić lub wyrwać z jej objęć.

– Bo ja chciałem mieć kolegę, mamusiu, przyjaciela.

– Ty nie potrzebujesz przyjaciół, bo masz mamusię.

- A dlaczego nie mam brata?
- Bo jesteś jedynakiem.
- A tatusia?
- Bo się wyprowadził.
- Dlaczego?
- Nie zwracaj mi głowy. Potem ci powiem.

Wtedy nie wiedziałem, jak dobrym terminem jest „potem” na załatwianie różnych spraw, zwłaszcza niewygodnych.

- A mogę mieć psa?
- Jak będziesz większy, bo psa trzeba wyprowadzać, karmić. To jest obowiązek.
- A jak wrócimy do domu, to już będę większy?
- Nie.
- A na Gwiazdkę?
- Zobaczymy.

– Będzie się nazywał Wąwóz – po dziecięcemu rozumiem „zobaczymy” w sposób odwrotny do jego istotnego sensu.

– No i widzisz? Pies nie może się nazywać Wąwóz. Kundle na podwórku to Azor albo Burek. Mały biały pudełek nazywa się Ami, a mały czarny pudełek – Kroki. A na wilczura woła się Dżek. Chyba, że to suczka, to wtedy jest Saba.

– Aha – szepczę, speszony myślozbrodnią, którą właśnie popełniam, postanawiając, że mój pies, choćby nie wiem co, będzie się nazywał Wąwóz.

Docieramy do koca, poddaję się smarowaniu tłustym dermosanem, do którego obrzydliwie lepi się piasek. Matka pogrąża się w drzemce, a ja w marzeniach o Wąwozie.

Podbiega, merdając ogonem. Już nie muszę siedzieć na kocu, bo mój przyjaciel pójdzie wszędzie za mną. A ja, tak jak teraz, za nim. Jest mi lekko, kiedy widzę go przed sobą, macham do niego, kiedy ogląda się, sprawdzając, gdzie jestem. Wąwóz. Mój Wąwóz, znalazł mnie przed Gwiazdką, nie mógł się doczekać, tak jak ja.

– S... s... s... – wkładam dwa palce w usta, usiłując zagwizdać. Okazuje się, że nie umiem. „A niech to, spierdala!” – podklinam sobie po cichu. Wąwóz biegnie wzdłuż brzegu, rozpryskując łapami fale. Zapuszczamy się tak daleko, jak nigdy, do samego mola.

Idziemy we dwóch, tak dumni ze swojego towarzystwa, że przechodnie posyłają nam uśmiechy. Deski mola pod moimi bosymi stopami są gorące, szeleszczą rytmicznie psie pazury. Schodki na samym końcu prowadzą na boczny pomost, przy którym cumują łodzie. Zbiegamy popatrzeć z bliska na wodę. Mój towarzysz chwytą własny ogon i – warcząc przez zaciśnięte zęby – obraca się wokół siebie. Podskakuję dookoła niego, lecz tak niefortunnie, że rozbijam sobie piętę. Próbuję dalej skakać, a jednocześnie złać się za bolącą nogę.

Tracę równowagę i spadam plecami w dół. Uderzam w wodę. Widzę nad sobą połykające chybotliwe sklepienie i zielonkawą toń pod nim, prześwietloną słomkowymi promieniami słońca. To ładne. Zapomniałem się przestraszyć. Czuję tylko ciepły strumyczek siuszków szybko uciekający z kąpielówek. Masa wody porusza się mocniej. Mogłaby wepchnąć mnie pod pomost, ale zamiast tego wyrzuca na powierzchnię.

Chwytam powietrze w płuca. Spoglądam w górę. Na tle nieba widać psi łeb.

Wąwóz! – krzyczę z całej siły. Pies przebiera łapami na skraju pomostu. Jego skowyt przechodzi w gwałtowne ujadanie.